



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCYJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

JAN Z CZARNOLASU

WYJĄTEK Z WYJŚĆ MAJĄCEGO

POEMATU

Seweryny Duchieńskiej.

I.

Nad ziemią Piastów jutrzeńka połyska,
Z dawnych posiewów kiełkuje plon Boży,
Mgły nocne pierzchły, godzina już blizka
Promiennej chwałą Zygmuntońskiej zorzy.
Zwiastuny wiosny, bociany, klekoczą,
Wszystko pogodny zapowiada dzionek,
Jaskółka kwili na gniazdku ochoczo,
I tylko milczy na miedzy skowronek.

Słyszę go... słyszę... z obczyzny dalekiej,
Pieśń jego leci przez lasy, przez rzeki...
Serca nieznana napęlnia otuchą;
Tak cudnych dźwięków nie zna polskie ucho!
Oracz ją słyszy nad pługiem schylony:
I pełnem tętnem jego pierś uderza;
Słyszcy je rycerz, bojami strudzony:
I nowym żarem drga serce rycerza;
Słyszcy je śpiewak: i podumał smutnie,
Z gniewem o ziemię roztrzaskał swą lutnię,
Robak zawiści do wnętrza go bodzie,
Lecz siłą woli pokusę zwycięża.

„O pieśni moja! Ty przebrzmisz w narodzie.
Woła z zapałem, w ręce tego męża,
Co tak cudownie strun liry dotrąca,
Niechaj dank pierwszy, złoży śpiewak stary!“¹⁾
A pieśń w narodzie dzwoni srebrnobrzmiąca:
„Czego chcesz, Panie, za Twe hojne dary?
Gdzie wzrok dosięże, wszędy pełno Ciebie,
W otchłaniach, w morzu, na ziemi i w niebie!
Tobie rozliczne kwiaty wiosna rodzi,
Tobie w kłosistym wieńcu lato chodzi,
Z Twej woli rosa na mdle ziola padnie.“²⁾

I któż on lirnik? Kto ten mąż natchniony,
Co słowem ojców tak potężnie władnie?
Zkąd on wy dobył te cudowne tony,
Że serca bratnie tak dzielnie porusza?
Nim po skarb wiedzy w świat długi, szeroki,
Pomknął zamłodu wędrownymi kroki,
Zdrój swojskich krynic piła dziecka dusza;
Wykarmion mlekiem piersi macierzyńskiej,
Niańczon jej pieśnią w niemowlęce lata,
Dochował w sercu skarb wiary przeczystej,³⁾
Niezłomną tarczę na pokusy świata.
Pod tą pawężą bezpieczny on wszędzie,
Płynął Dunajem, brnął przez Alp krawędzie,
Kędy na morzu gród Wenetów leży,
I u tybrowych wstrzymał się wybrzeży,

1) Słowa Mikołaja Reja z Nagłowic, wyrzeczone na zjeździe sandomierskim, gdzie odczytano przyslaną świeżo z Paryża pieśń Jana z Czarnolasu, zaczynającą się od słów: — „Czego chcesz od nas, Panie“.

2) Wiersze samego Jana Kochanowskiego, odznaczone wszędy kursywą ale nie podane dosłownie.

3) Świadczą o tem własne słowa Jana Kochanowskiego:
Nie uczyłem się w Lipsku, ani w Pradze wiary,
I nie wiem, jako każą w Genewie u Fary.

Wonczas, gdy ludom błysła z wieków luna,
Romy Cezarów chwała odrodzona.
Z wiecznego miasta pomknął dalej jeszcze,
Tam, gdzie Sybilli grzmiąły głosy wieczne,
Ziemie Latynów zbiegł z końca do końca,
Wdarł się na skałę pięknej Kaliopy,
Kędy nie było znaku polskiej stopy.
Ztamąd pieśń swojską wysłała za gońce:
Niech na Wschód bieży skowronczemi loty
I lutni polskiej wywróży wiek złoty!

II.

Długo z niw obcych zbierał żeniec plony,
Z bogatym snopem do domu powraca.
Odłogiem leżą ojczyste zagony;
Czas je zaorać: nie trwoży go praca.
Na skwarze dworskim wyschłoby to ziarno;
Oracz je woli złożyć w rolę czarną.
Ztąd zawierucha w świat go nie rozniesie,
A gdy Bóg słońca użyczy, i rosy,
W nagrodę złote zadzwonią mu kłosy.

I osiadł lirnik w cichym Czarnolesie.
Lipa mu cudnie szeleści nad głową,
Co dnia piosenkę poszepnie mu nową.
Rychło dorodną upatrzył dziewoję;
Snadniej trud życia ponosić we dwoje;
Głos jej słociuchno serce mu pochwyca,
Jak wpośród gwiazdek świeci blask księżycy,
Tak ona świeci w polskich dziewic kole,
Stopką zaledwie tknie ziemi, gdy miją;
W ślad jej wyrasta róża i lilia!

Lirnik na życia dołę i niedołę
 Pojął dziewczętkę i nazwał ją żoną,
 Perłą dni swoich, *głowy swej koroną*,
 Przy niej mu życie wianuszkami się toczy;
 Wnet troska pierzchnie, gdy spojrzy w jej oczy.
 Rad też na wrotach nakreślił w pokorze:
*„W tym cichym domu błogostaw nam, Boże!
 Inni niech dworce murowane mają,
 Niech złotogłowie ściany obijają,
 Ty mi daj mieszkać w tem gnieździe ojczystem,
 Udaruj zdrowiem i sumieniem czystym,
 Uczciwem mieniem i miłością ludzi!”*

I ład zakwitnął pod strzechą domową:
 Wytrawny oracz niepróżno się trudzi,
 Ziarno nie pada na rolę jałową;
 Bujnie mu wschodzi posiew na zagonie,
 Do ula pszczółki skrzętnie znoszą miody,
 Rumiany owoc rodzą mu jabłonie,
 Ztąd pełne pola i jagniąt zagrody;
 A bujniej jeszcze od owsa i żyta,
 Pieśń w Czarnolesiu na słońcu rozkwita.

Mistrz pokolei różnych strun dotrąca,
 I z każdej umie dźwięk wydobyć nowy:
 Aż uderzyła z nich, piorunem grzmiąca,
 Prorocza nuta harfy Dawidowej!
 I polska mowa, tak chropawa jeszcze,
 Gdy w nią powiało technienie piewcy wieszczę,
 Z harfą Dawida biegnie przed tron Boży,
 Godna zwiastunka Zygmuntońskiej zorzy!
 A gdy zakraczą krucy, śmierci gońce,
 Od strzał tatarskich gdy zaćmi się słońce,
 Wzdłuż polskich jarów dzwoni psalm proroka:
*Kto się w opiekę odda Panu swemu,
 Znajdzie bezpieczny puklerz przeciw złemu.
 On lwa ujarzmi i pogromi smoka!*

Pieśni zrodzone w cichym Czarnolesie,
 Dzwonią po kraju brzmieniem hejnały,
 Ranna je rosa pod obłoki niesie,
 Plusnęły niemi fale Wisły białej,
 Aż zachwycony potęgą tych tonów,
 Drgnął na Wawelu prawnik Jagiellonów.
 — „Orłom—zawoła—nie w kniei lesistej,
 Ale na słońcu słać gniazdo przystało!
 Wieszcz, co tak podniósł blask chwały ojczystej,
 Godzien być kraju podporą i chwałą,
 Niechże zasiądzie w senatorów gronie“.
 I wielki kanclerz, mąż pierwszy w Koronie,
 Do Czarnolasu pośpiesza tam w posty.
 Lirnik serdecznie powitał kanclerza;
 Pod cieniem lipy sadza go rozrosłej,
 Pełną mu serce radością uderza—
 Lecz dostojęstwa on przyjąć nie może!
 — „Wielce mi drogą łaska mego Pana, —
 Rzecz z prostotą — ale strzeż mnie, Boże,
 Bym ja dumnego wpuścił kasztelana
 W me niskie progi: wnet-by dla czczej chwały,
 Próznej gawiedzi otoczony rojem,
 Roztrwonil plony mej pracy wytrwałej.
 Ten pan, kto umie poprzestać na swoim.

(Dokończenie nastąpi).

etyczne stanowisko kobiety

W POEZJI NASZEJ.

Zosia.—Telimena.—Księżniczka Lala.—Świtezianki.—Branka z Lehistanu.

Zosia z poematu: „Pan Tadeusz“ jest jedną z najwdzięczniejszych postaci w literaturze na-

szej—jest wdzięczną niewymownie przez słodki, jakby jutrztenkowy urok prostoty i świeżości, wedle natury i swojskiego naszego typu oddanych. Ta-to świeżość, ta swojskość za serca chwyta i „kochać przymusza“. Czytając, uśmiechamy się mimowoli do słicznego widzenia poety, do dziewczątka, co „nagle, ciche, lekkie jak światłość miesząca“ po wiejskim sadzie buja i jest podobne do pączka róży, z perłą się na nim jeszcze rosą poranną. Ale poza tym powabem, niewinnie pociągającym, przeglądają już rysy pięknej, dobrej kobiecości. Czujemy, że ta Zosia, co gołębie pasie i dzieci bawi, placzące na łono bierze, a one do niej „tulą główki jak pisklęta“, to serce pełne tkliwości najśłodszej, to ciepła, miłosna natura kobieca, która się kiedyś do życia uczuć rozbudzi i drugiemu sercu szczęście dać, za dni pomyślnych rozkoszą je poić, w próbach losu wiernie przy niem wytrwać potrafi. Poeta wyraźnie zaznacza te, w przyszości wystąpić mające, strony charakteru Zosi, która przecież nie ma być taką bohaterką jak Aldona, jak Grażyna, ale w warunkach życia zwyczajnych szlachetną, poświęconą kobietą, która wszystkie wysokie obowiązki życia zrozumie i cnoty rodzinne z cnotami publicznymi zwiąże. Zosia jest też w galerii kobiecych postaci Mickiewicza dziewczą-obywatelką. Kiedy „serce w niej zadrzało“, kiedy, dowiadując się, że jest kochaną, zaraz kochającego młodzieńca zegnąć musi, nie wymawia przecież słowa: zostań! i tylko relikwie obronne na pierś mu daje, a zresztą milcząca płacze, i lzy „sypie jak brylanty“, aby przecież już nie zapomnieć potem, aby pamiętać długo i przywitać miłośnię, choć nieśmiało. Co to za śliczna ta jej spowiedź, gdy Tadeuszowi swemu już teraz zaręczona, opowiada, jak pamięć o nim „coś niby jak rozsada, w jesieni zasiana, przez całą długą zimę w sercu się krzewiła“; jak w mieście, wśród jego zabaw karnawałowych, tęskniła do pokoiku swego na wsi, bo jej „coś szepotało“ że go tam znajdzie — ukochanego w cichości, w tajemnicy, prawie przed własnym sercem nie przyznanej. Jest przecież w tej naiwnej Zosi, od wiosennego lata rozkwitu szlachetna siła odporu, która jej nie daje na wzór lichy, kokietującej elegantki się urabiać, i każe instynktownie lgnąć do wyższego, szlachetniejszego wzoru życia, prawdziwego piękna modłę sobie przyswoić i choć „od Telimeny za upór złącana“, jest sobą—jest naszą, rodzimego wdzięku dziewczą. To też gdy w „stroju litewskim, prostaczym“ przed dostojnymi gośćmi stawa, oni jej ręce w kolej całują i „ze łzami prawie“ przyglądają się „wstydlivej dziewczynie“, i tego, który miał z nią życie podzielić, któremu miała być towarzyszką na lata długie, uczynił też poeta w tej chwili radośnie szczęśliwym; „Tadeusz patrzył wesół i zacierał ręce“.

„Czy jej kto poradził wyjść w takiej sukience?“—pyta poeta rzekomo, bo w całym toku poematu widzimy, że ta Zosia sierota, choć taka popularna i skromna, taka napozór dziecinna i lekka, ma w sobie siłę samodzielną, która się w niej zaznacza dobitnie przez różność zupełną od wychowującej ją Telimeny i przyszły jej charakter kobiety rysuje się wyraźnie wskutek oznak tej różnicy. Kiedy Tadeusz, mający dostać w posiadanie dziedziczne jej majątki, chce zaraz na wstępie w nowe to życie stosunek swój posiadacza gruntu do pracującego na nim ludu włóścian urządzić wedle zasad wyższej sprawiedliwości społecznej i wyższej miłości bliźniego, i uważa to sobie za obowiązek, aby jej się do tego zamiaru przyznał, tłumacząc, że to „zmniejszy ich dochód, że będą musieli „żyć w miernym stanie“, Zosia na to odpowiada „skromnie“, że do niej, jako kobiety, rządy majątkowe nie należą, ale za spełniony czyn uczciwy, za postępek ofiary szlachetnej obiecuje mu wyższej miłości swej nagrodę, i mówi:

„Jeśli włość uwłaszczając, zostaniesz uboższy,
 To, Tadeuszu, będziesz sercu memu droższy...“

I nie są to słowa czczej deklamacji, nie jest to frazes sentymentalny, bo Zosia zna konsekwencją czynu, z którym się godzi, następstwa jego odnośnie do siebie rozumie, skoro mówi:

„Pracy się też nie lękam, bom młoda i zdrowa...
 Umieć chodzić około domu, nosić klucze;
 Gospodarstwa, zobaczysz, jak ja się wyuczę...“

I łatwo, spokojnie, z pogodą ducha i szlachetną w sobie, w pracę swoją ufności, spełnia ta dziewczyna młoda wielką ofiarę poświęcenia, wielki akt cnoty obywatelskiej, i poeta przedstawił też tutaj najszlachetniej pojętą parę małżonków, łączących się ze sobą na życie trudu i służby, krajowi i ludzkości oddanej. Mężczyzna umie uszanować prawa własności, prawa głosu kobiety w stanowieniu o losie wspólnym; kobieta ma taką ufność zupełną w rozum i uczciwość tego, któremu serce swe oddała, że poniekąd prawa te swoje w ręce jego składa, nie wyrzekając się jednak czynnego udziału w pracy i razem w zasłudze, ku której on jej drogę wskazuje. Jest to najpiękniejszy ideał małżeńskiego związku, a zarazem jedynie prawdziwy jego wzór, jeżeli to ma być połączenie się rzeczywiste dwojga ludzi na dołę i niedołę życia. Gdzie tak nie jest: gdzie oprócz pewnego upodobania do siebie, które bywa lekko nazywane miłością, nie ma głębokiego wzajemnych praw poczucia, głębokiego względem siebie uszanowania i ufności wzajemnej, jest tylko współka dla samolubnych interesów życia zawarta. Mickiewicz przedstawił w połączeniu Zosi z Tadeuszem ten ślub sakramentalny, który jest zarazem zespoleniem się duchów a przeprowadzenie ich wspólne przez czyn szlachetnej ofiarności jest tu jakgdyby cementem, co ten związek ich spaja i ukazuje to dwoje idących w drogę życia w harmonijnem zlanu się ze sobą we wszystkim, co jest piękne i dobre w życiu. Z tej Zosi może być i Grażyna i Aldona; z tej Zosi, która zostawiona w całej swej naturalnej prostocie młodości, w całym wdzięku pierwszego wiosennego rozkwitu, umie być dziewczą-obywatelką—musi się rozwinąć, jak kwiat z pączka, kobiecość podniosła i dostojna, na każdy stopień istnienia swego wstępująca z wysokim wysokich obowiązków życia pojęciem.

Telimena—to odwrotna strona wszystkich ideałów kobiety, przez Mickiewicza skreślonych; lecz jeżeli to już nie ideał, to z żalu za straconym ideałem satyra, rozdzwięk w harmonii, rys brzydki wśród piękna. Telimena, to kobieta wyrodzona ze swej ojczystej idei, rozwinięta wedle wzorów obcych i ztąd od całego swego otoczenia odcinająca się dysharmonią; kobieta ze sfalszowanym pojęciem moralności, ze sfalszowanym pojęciem piękna. To też, jak Żyd wieczny tułacz; nie może się ona nigdzie stale uczepić, wedle pragnienia losu ustalić: śmieszna i śmieszność rzucająca na wszystko, co się do niej zbliża, jest w kolej przez wszystkich porzucana, i nikt szczerze ani na chwilę jej nie kocha, aż człowiek, którego udało jej się w końcu złapać, a którego chciała natychmiast rzucić, skoroby się ktoś lepszy znalazł, słyszy wygłoszony nad sobą wyrok: —Głupi!!! Telimena, stara panna bez godności, kokietka bez szlachetnego kobiecości poczucia, niezdolna nikomu szczęścia dać i sama go też nie dostająca, jest jakgdyby na to przez poetę w poemat wprowadzona, aby jej licha sztuczność, wyżej naturalny wdzięk Zosi podniosła. Lecz gdyby wolno było pocie nieobjawioną wyraźnie intencją podsunąć, zdawać-by się mogło, że chce on z tego przeciwstawienia jeden jeszcze wyższy skutek odnieść: chce wykazać, że droga kobiety do pozyskania sobie miłości męskiego serca, to nie pretensjonalna elegancja, nie wykwiłtne loki i koki, lecz przeciwnie jest to zabiciem tego słodkiego czaru, który tylko z wdzięku prostoty, z prawdy naturalnego piękna się rodzi.

Mickiewicz na tę postać elegantki ciska cień bardzo czarny, bo czyż Telimena nie jest więcej niż śmieszna, więcej niż na niski poziom zesłała kobietą? Czyż to nie jest nędzna odstępczyni od najświętszych tradycji rodowych, i czyż nie dla życia płochę zabawy, nie dla wielkomiejskiego życia, odwróciła się ona od palladium ojczystych obyczajów, nie stała się głuchą na pewne sercu drogie tony rodzinne, obojętną na pewne rodzinne wstręty głębokie? Inny poeta—Wiktor Hugo—powiedział, że drugą stroną miłość dobra, jest nienawiść złego — otóż Telimena nie ma tej nie-

nawiści potrzebnej, aby jej miłość była uczuciem silnem i tkiwem—aby była miłością.

Całość tej postaci przykra i smutna, choć w żartobliwym tonie niby trzymana, ma dla siebie jak gdyby pedant w księżniczce Lali, z powiastki humorystycznej, niedokończonych, ale zawsze pewien kształt moralny postaci kobiecej przedstawiającej. Imię księżniczki, już określa, kto ona jest—jest ona: Lala!... Bardzo piękna, bardzo rozumna, nawet ze wszystkich panien na okół najrozumniejsza, najurodziwsza,—cóż jednak, skoro była najniezwyklejsza, bo, niestety! nikt nigdy nie rozgorzał dla niej płomieniem miłości, nikt się w niej nie zakochał. Przyjeżdżali zdaleka i zbliska, przyglądali się urodzie, nie mogli się wznieść napatrzeć, ale nikt nie chciał się dalej posunąć—nie sięgnął po wieniec. Biedna Lala widząc, że kawalerowie koronowani nie śpieszą się, zdecydowała się wyjść za rycerza pomniejszego znaczenia, ale i ci, swatani przez ciotki, przez stryjenki, jakoś nie mogli się odważyć. Było w posagu królestwo, było trzysta sześćdziesiąt sześć pałaców i nic z tego!... Ze jeszcze wtedy nie znany był ludzom sekret, że: „można panny nie lubić, a przecież ją dla pieniędzy worka zaślubić“... więc księżniczka nieboga płakała dnie i noce, „aż płaczącej panie Lali przysłała myśl dzika, ażeby się wydać za męża, choć za kuchcika“... Lecz niestety i kuchcik nie miał na to ochoty... Wyprasał się, pokazywał, jakie ma czarne ręce, jaką twarz usmoloną, a gdy panna, gwałtem pragnąc stanąć na ślubnym kobiercu, dawała mu rady, jak się ma najpierw piaskiem w strumieniu wyszorować, a potem za jej złoto wyekwipowany przed zamek jako rycerz zająchać i do jej ręki w konkury uderzyć, on jej najpierw plackiem do nóg się rzucił, honoru tego się odrzekając, aż w końcu płacząc, jęcząc, zębami zgrzytając, dostał, znać z przestachu, śmiechu serdecznego, czem się rzecz kończy. Czy więc księżniczka Lala doprowadziła małżeństwo swoje do skutku? nie wiadomo — można jednak przypuścić, że nie takim był zamiar poety. Mickiewicz Lalę widocznie przeznaczył na stare panieństwo, na nieukochanie przez żadne serce męzkie, na samotność dożgonną, i zapomnienie po śmierci, jak to sama przeczuwając, mówi:

„Kaźda panna z mego dworu—kaźda poddanka.
Czy dworaka, czy prostaka — znajdzie kochanką!
Towarzysza ma i dziatki, tylko ja jedna,
Bez nikogo na tym świecie, muszę żyć biedna,
I nie będzie po mnie komu zapłakać szczerze,
Za mą duszę nieszczęśliwą mówić pacierzel...“

Humoreska smutniejsza od elegii i nauczająca więcej niż kazanie. Wyrok poety odsądza od szczęścia miłości księżniczkę Lalę i rzuca na nią anatęmę wiecznego osamotnienia, bo do czegoż wreszcie potrzebnym jest takiej istocie związek serdeczny? Trocha gałganków, szychu, świecidła—oto świat jej umiłowań i jej szczęścia, a jeżeli kiedyś, pod zachód słońca, obudzi się w pierśsiach serce i o swoje prawa upomni, to życie musi odpowiedzieć wtedy:—Zapóźno!

Mickiewicz nie zdawał się jednak wierzyć w możność kochania u kobiet tego rodzaju, bo Telimienie nie dał żadnej sympatyj żywszej, żadnego drgnięcia serdecznego dla nikogo. Stara panna, chce podobnie jak księżniczka Lala, wydać się za męża; wolałaby Tadeusza lub Hrabiego od Assesora i Rejenta, ale to już była głównie kwestya lepszej, lub gorszej partyi, i gdyby Pluta był został nagle feldmarszałkiem, poszłaby za niego nieochylnie.

Wśród drobniejszych utworów Mickiewicza znajduje się jedna sylwetka kobieca piękności wyższej, a zarysu bohatera — tajemnicza dziewczica wód, występująca z głębi jeziora Swiętuziu dla opowiedzenia smutnej powieści o smutnej doli swojej. W głębi jeziora ukryte jest prastare miasto litewskie, zatopione cudownie w chwili okrutnej, gdy w nieobecności ojców, mężów i braci, naszedł je obcy najeźdca. Kobiety zamknęły bramy, gdy te przecież padły pod taranami wrogów, gdy nikad nie ma obrony, ani nadziei ratunku, podkładają ogień pod miasto, podkła-

dają ogień pod ściany zamku, gdzie zbiegły się razem, i chcą się wzajem zabijać. Córka księżęca, bezsilna wobec nieszczęścia, nie zdolna do dania im pomocy innej nad tę śmierć samobójczą, woła jednak do Boga i uzyskuje cud. Fale wodne występują z łona miłosiernej ziemi ojczyściej i zalewają miasto, a bohaterkie kobiety Swiętuziu, zamienione w zioła „białawem kwiecim jak białe motylki unoszą się nad topielą“ i tylko dostał im się od Boga dar władzy takiej, że każdy wróg, któryby sięgnął po kwiat ręką, pada zabity nagłą niemocą i jezioro ciche, w spokoju zostawione, otoczone ciemną zasłoną lasów, rozlewa szeroko błękitne wody swoje, wśród których jednak zdaje się powtarzać niekiedy dramat okrutny. Słychać w głębinie szcęk i tentent koni, słychać straszliwy wrzask: „ura“! potem na gwałt bijące dzwony i głosy lamentów niewieścich, aż raz wyszła na powierzchnię żywego świata dziewczica wodna i ogłosiła ludziom tajemnicę sióstr swoich Swiętuzianek. A choć tę legendę utworzyła na gruzach przeszłości historycznej poetyczna fantazyja ludu, niemniej wieszcz, który ją od niego przejął i przyswoił sobie, już ją przez to własnością swoją uczynił i ta księżniczka z czasów Mendoga, której mytyczne istnienie ocalił od zagłady, jakiej z postępem czasu ulegają podania ludowe, wchodzi w szereg bohaterki jego poezji i bladą swą postać cienia ukazuje między niemi. Widzimy ją przed oczyma dusz naszych, gdy wśród płomieni pałaców się miasta, wśród tłumu kobiet, które „kłęczą na progach, wyciągają szyje, a inne przynoszą topór!... podnosi w górę ramiona i woła do Boga: „Jeżeli nie możemy ujsć nieprzyjaciela, o śmierć błagamy u Ciebie!“...

Mickiewicz kocha ideał kobiety gorącej ducha, heroicznego porywu i księżniczka Swiętuziu to jeszcze kobieta obywatelka na wyłomie ostatniego już nieszczęścia. Padły wszystkie zasieki, wszystkie okopy, i ona „miecie bogactwa na stopy, przynosi żagwie i płomień do gmachu i krzyczy strasznymi głosy:

„Niechaj nas, Panie, twój piorun wystrzela,
Lub ziemia żywcem pogrzebie!“

W cyklu ballad znajdujemy jedną jeszcze taką postać niewieściami, w którą poeta wcielił szlachetną myśl swą o kobiecie. „Ballada Turecka“ stawia przed perskim baszą, renegatem, brankę „z zimnej krainy“ którą on, odstępca, „wspomina tak czule“. Były wtedy przy nim Greczynki i Czerkieski, śpiewające i płasające, były zatem najurodziwsze, najwdzięczniejsze kobiety świata, na których piękność on obojętny, otoczył się wonnym obłokiem dymu, z tureckiego cybucha ciągnionym.— Ale gdy nagle opada gaza słońca lice branki z Lehistanu i gdy on spotyka się ze spojrzeniem tej, którą poeta maluje, że miała „postać lekliwej gazeli“ — gdy oczy jego zbiegają się z modremi jej źrenicami — basza się ślania, chyli i zdaje się, że kona. Ach! ze wzroku Lehistańskiej dziewczicy wystąpiły znać przed niego wszystkie, wszystkie wspomnienia, zostawionego po za sobą świata, któremu wiare złamał: zagroda rodzinna i Znicz domowy, pacierz, którego uczyła matka, gorąca pieśń zapału, którą śpiewała siostra i przykazania, przysięgi, obowiązków świętość, — wszystko to wystąpiło teraz przed niego i zabiło — lecz tylko perskiego baszę, tylko renegata... Czy branka była jego dawną znajomą, może niegdyś kochaną dziewczicą—nie wiemy, bo poeta nie daje tu wskazówki żadnej. Sprawiała to jednak że nie ona „lekliwa gazela“ pozostała z nim w rozkosznej dolinie Kaszmiru, wśród skarabów, klejnotów, sług i rozkoszy Wschodu, ale on to wszystko przez nią i dla niej rzucił, i docucony do życia, nowem życiem natchniony, wraca tam, z kąd tu uszedł, uchodzi z nią tam, gdzie łązawych źrenic spojrzeniem, stęsknionych ramion wyciągnięciem szlak drogi mu wskazała, i w tym krótkim, lekko, ledwo wyraźnymi rysami naszkicowanym obrazie, zawarł poeta cały ogromny dramat najwyższego natężenia uczuć ludzkich, najwyższego ich gwałtu i porywającej siły, której skupienie umieścił w kobiecie. Branka z Lehi-

stanu, to tak jak Żywila, jak Grażyna na straży najświętszego obowiązku postawiona strażniczka, lecz tu bohaterkość jest niemal wyższa, bo teraz ona, to ta siła, która upadłych już podnosi, grzeszników już nawraca, schyla się ku nim i dźwiga ich w białe ramiona bierze i obowiązkowi odnosi. — Kobieta obywatelka na posterunku najcięższej pracy, najboleśniejszej ofiary, i potrzeba było jeszcze jej jednej, aby Mickiewicz objął w poetycznych widzeniach swoich cały szeroki krąg działalności, w którym kobieta, podniesiona do ideału naszej rodzinnej idei, z duchem narodowym współpracuje.

Marya Ilnicka.

KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

1 rzez

J. I. Kraszewskiego.

Tom II-gi.

Nadeszła zima znowu i czwartkowe przyjęcia u Zawierskich rozpoczęły się obiadem i wieczorem, na który wszyscy dawni znajomi przyjaciele domu zbiegali się chętnie, bo wszyscy się tu czuli w atmosferze zdrowej, ożywiającej, życzliwej — pozbawionej tych miazmatów chorobliwych, które zatruwają obcowanie i rodzą niesnaski i kwasy.

Pani Zawierska i panna Michalina uniały zawsze zapobiedz wszelkiemu podrażnieniu, w zarodzie zabić plotkę złośliwą, zbliżać, jednać i łagodzić.

U nich też twarze można było spotykać wesołe, a ton rozmowy sprawiał wrażenie błogie, uspakajające.

Babunia była zdrowsza; drzwi jej cichego apartamentu zamknęły się teraz, pozostała sama ze swą lektorką — a Misia tylko wbiegała do niej czasem zdać sprawę z tego, co się działo u nich, przykłękała przy kanapce, poszeptowała, usmiechnęła się staruszce i wracała do gości.

Pierwszego czwartku natłok był wielki. Pani Zawierska wiedziała, że tego dnia miał być przez hrabiego Antoniego zaprezentowanym Wacław Nitosławski, ale nie oznajmiła o tem córce — nie chciała jej uprzedzać — obawiała się; projekt wydawał się jej bardzo ńęcącym, pragnęła, aby mógł przyjść do skutku, lękała się ze swej strony zaszkodzić temu jakim krokiem fałszywym, wolała więc pozostać neutralną.

Oczy jej jednak często się ku drzwiom zwracały, serce biło żywo.

Nitosławskiego nie było jeszcze, gdy Horpiński wszedł do salonu, i Misia z poufałością dobrej przyjaciółki, z uśmiechem wdzięcznym na ustach wystąpiła kilka kroków na powitanie go.

Zdała widziała matka, jak się jej twarzyczka rozjaśniła — jak ochocho podała rękę i jak, zwykle ponury, zadąsany, surowy, p. Sylwan na widok jej rozweselił się i odmłodniał.

Pomówili z sobą krótko, przybywający goście ich rozdzielili. Horopiński się usunął. Drzwi się prawie nie zamykały.

Trochę późno już ukazał się w progu hrabia Antoni, dobry, miły, ale nieznaczący człowiek, którym się wszyscy posługiwali, a on chętnie służył każdemu.

Prowadził on za sobą, starannie bardzo, zangielska ubranego, trochę sztywnego p. Wacława Nitosławskiego, którego niezmierne podobieństwo do Sylwana Horpińskiego odrazu uderzyło wszystkich. Zazwyczaj takie rysów podobieństwa najmocniej się czuć dają, gdy dwaj Sozycy — nie znajdując się obok siebie. Tu, w jednym salonie, o kilka kroków od siebie można ich było porównywać, a niesłychana jednostajność rysów, ruchów, na-

wet wyrazu twarzy, uderzała wszystkich. Znamie maleńkie u dołu samego policzka obu nawet było wspólne.

Patrząc na nich, goście milczeli zdumieni. Pani domu, gdy hrabia się zbliżył, wiodąc za sobą p. Waclawa, zmieszala się, w oczach panny Michaliny odmalował się przestrasz jakiś. Mimowolne milczenie dosyć ożywiony salon na chwilę złowrogą ciszą przycisnęło.

Horpiński, zdaleka stojący, wpatrzył się w Nitoslawskiego i — zbladł jak ściana. Panować umiał nad sobą, ale w tej chwili widać było, że całej siły musiał użyć, aby wrażenie niespodziane ukryć i namyślić się, co ma począć.

Czuł oczy wszystkich zwrócone na siebie. Chwilę zdał mu się, że najlepiej będzie wysunąć się i zniknąć, lecz zaledwie niedawno przybył — wyglądałoby to na ucieczkę, na strach jakiś. Musiał pozostać.

Nitosławski tymczasem, z całą wprawą człowieka bardzo obytego z towarzystwem, zagał rozmowę z gospodynią domu, spróbował ją zawiązać z córką; lecz Misia, jakby osłupiała — odpowiedziała mu tylko uśmiechem i poruszeniem głowy.

Te rysy znajome, miłe jej, które nieznanemu człowiek sobie przywłaszczył, czyniły na niej wrażenie niewysłowione — przerażające.

Pan Waclaw mówił, uśmiechał się; głos był tensam, uśmiech jakby jego — ale na tem się ograniczało podobieństwo.

Myśli, sposób wyrażania się — różniły Nitoslawskiego od Sylwana ogromnie. Więcej się to dało czuć, niż się mogło okazać w początku — lecz kilka słów starczyło, aby charakterystykę oznaczyć.

Waclaw Nitoslawski był często salonowym, najlepszego tonu wychowancem i dziecięciem; gdy Horpiński przy formach najwyszukańszych miał w sobie coś nad nie i nad ten świat salonów wyższego.

Przypatrując mu się bliżej, panna Michalina spostrzegła, że podobieństwo rysów było czysto formalne, dla pospolitych oczów uderzające — ale pod niem kryły się dwie różne natury; Nitoslawski należał do innej sfery ludzi — do innego działu ludzkości, który poza interessa powszednie okiem ni myślą nie wychodzi.

Po krótkiej rozmowie z gospodynią, a jeszcze mniej rozwiniętej z panną Michaliną, — Nitoslawski, znalazłszy tu kilku dawnych znajomych, wmieszał się w tłum gości.

Dopiero teraz, czy on sam, czy ktoś zwrócił uwagę jego na Horpińskiego. Waclaw obejrzał się niespokojnie, poszukał go oczyma, a że zwykł był codnia spędzać trochę czasu przed zwierciadłem i znał swą twarzyczkę — uznał natychmiast niezmiernie podobieństwo swe do p. Sylwana.

Nadzwyczaj przykre zdawało się to na nim czynić wrażenie. Cała zimna krew i pewność siebie, które go cechowały, wystawione zostały na straszną próbę. Z ruchów mimowolnych drgającej twarzy widać było, co się w nim działo. I on walkę wewnętrzną jakąś odbywał z sobą — kilka razy oczy jego przebiegały po salonie — nie odpowiedział na zadane mu pytania — i dopiero poniekąd czasem wrócił pozornie do spokoju, z jakim ukazał się z początku.

Pilniej jednak śledzący go byłby dostrzegł, że oczy jego ciągle biegle w tę stronę, w której stał Horpiński. Drażniło go to — niemiłe podobieństwo, a osobom, które o niego zagadnęły — odpowiadał ruszeniem ramion dwuznacznem.

Najosobliwszem jednak wydało się to wszystkim, że ani pytał, kto był ten Horpiński, ani się go ciekawym zdawał. Znajdujący się tu i śledzący bacznie obu, p. Emil Paczusi znajdował to — nienaturalnem.

Wnioskował nawet, że chyba — Nitoslawski coś wiedział, co mu tłómaczyło fakt ten w zdumienie wprawiający wszystkich innych gości.

Na pannie Michalinie widocznie ten wypadek — czynił przygniatające jakieś wrażenie. Chodziła blada, niespokojna, a oczy jej daleko częściej się zwracały ku Horpińskiemu, niż ku nowemu go-

ściowi. Odgadywać się zdawała przykreść, jakiej doznawała. Pragnęła go pewnie pocieszyć — czy przekonać się do jakiego stopnia uczuł to spotkanie — bo, idąc do babuni, obrała taką drogę, aby się na niej spotkała z Horpińskim. Skinęła na niego, bo stał trochę zdaleka — zbliżył się...

Salon był nadto pełny, rozmowa prawie niemożliwa; panna Michalina poprowadziła go ze sobą do przyległego gabinetu, w którym osób było daleko mniej — i para stolików czekała na graczy.

W głosie Michaliny czuć było wzruszenie.

— Znasz pan Nitoslawskiego? — spytała.

Zimno i sucho odparł Sylwan:

— Nie mam honoru.

— Ludzie znajdują panów tak nadzwyczajnie podobnymi do siebie, ja — nie...

Zwróciła się ku niemu. Stał przed nią blady, smutny, gryząc wargi, nie kryjąc przykrości, jakiej doznawał. Zaczął mówić pocichu:

— Nie jest to rzeczą przyjemną, spotkać się z taką... maseczką własną w towarzystwie. P. Nitoslawski położeniem swem przerasta mnie owiele — dostaje mi się więc rola cienia i ciekawego egzemplarza igraszek natury. Pani mi nie wżmie za złe, że się — cofnę i że chyba nieprędko znów ukazę się tam, gdzie mi zawsze mój *sosios* będzie grozić.

Nie móż być nawet sobą, ale skazanym zostać na — kopia słabą jakiegoś oryginału — smutnym jest losem.

— Pan to bierzesz tak tragicznie — szepnęła Misia — co jest prostym przypadkiem.

— Nader nieprzyjemnym — rzekł Sylwan — przyznasz to pani — lecz są takie przeznaczenia — dolel...

Uśmiechnął się, popatrzył jej w oczy, podali sobie ręce, Michalina długim spojrzeniem starała się go pocieszyć, zatrzymała się trochę — i poszła do babci.

Horpiński pozostał w gabinecie, przeszedł się po nim razy parę, niespokojny — znalazł drzwi boczne wychodzące do sieni i niepostrzeżony wymknął się niemi.

Gdy w salonie go zabrakło, a ciekawe oczy próżno szukały dla porównania tych dwóch twarzy — zaczęto się zbliżać do Nitoslawskiego i wiele osób zawiązało z nim znajomość.

Nikt jednak nie śmiał napomknąć o — Horpińskim; i — dopiero poufalszy nieco Pruszczy, który na ten dzień przybył umyślnie, wzięwszy na stronę p. Waclawa, zagadnął go, szepcząc na ucho:

— Czy pan uważał tego kogoś, którego tu wszyscy tak nadzwyczaj podobnym uznają do niego! To prawda, że podobieństwo niesłychane.

Nitosławski się poruszył niecierpliwie.

— Nadzwyczaj nieprzyjemne to dla mnie — wybąknął kwaśno, pochylając się do ucha Pruszczy. — Jest to przypadek — ale zwracać na siebie oczy i paplanie ludzi z powodu takiego fenomenu — nie miło.

Pruszczyc obojętniej to brał.

— Rzecz małego znaczenia — rzekł — pan nie znasz tego Horpińskiego!... nie wiesz o nim nic?

Żywo bardzo, może aż nadto, Nitoslawski prze-rwał:

— Nie wiem!... nie znam...

Stary wojskowy, który mu spojrzął w oczy nagle, spostrzegł, że mówiąc to, był nadzwyczaj zmieszany, tak, że protestacya wydawała się podejrzana. Oprócz tego p. Waclaw z widoczną niechęcią przyjął to pytanie.

Po wyjściu Horpińskiego pozostał Nitoslawski dosyć długo. Usiłował się zbliżyć nareszcie do Michaliny, która uznała, że dla samej grzeczności unikać go nie mogła. Dozwoliła mu więc się przy sobie — i zaczęła się jedna z tych rozmów wstępnych, przegrywek do lepszej znajomości, jaką się zwykle pierwszy raz spotykające osoby wzajem badają.

Panna Michalina władała już zupełnie sobą, była chłodną i starała się tylko wyrozumieć, oile podobieństwo twarzy, głosu i ruchów ciągnęło za sobą jedność ducha.

Lecz im rozmowa o podróżach, o Londynie, o życiu w Anglii i t. p., przeciągała się dłużej, tem Misia się bardziej przekonywała, że ci dwaj bratersko do siebie podobni ludzie stali na krańcowo przeciwnych stanowiskach pojęć i poglądów.

Przed kilku dniami właśnie miała ona sposobność o tym samym przedmiocie mówić z Sylwanem: mogła więc porównać ich ze sobą.

P. Waclaw był prawdziwym anglo-manem nie-ulegającym krytyce, a spostrzegaczem fenomenów życia zewnętrznych, w których głębsze znaczenie się nie zapuszczał. Opisywał wybornie, tłómaczył nawet śmieszności zrecznie — i za ten kres nie wychodził. Sylwan również wiele instytucji angielskich, wiele cech obyczajowych uznawał naśladowania godnymi, lecz strony ujemne były może jeszcze dobitniej oznaczone w jego sądzie. A co się tyczy naśladownictwa dodawał, że nic się nie powinno i nie może przesadzać, że obyczaj i instytucya musi rosnać z rodzinnego gruntu i żyć sokami własnymi. Słowem p. Waclaw wydawał się dziecinnie płytkim, choć bardzo dowcipnie opisywał wyścigi w Epsom, życie na wsi, pobowania, wybory do parlamentu i salony West-Endu.

Nitosławski nie był niczem więcej nad bardzo dobrze wychowanego człowieka, nader miernych zdolności, gdy Sylwan pannie Michalinie wydawał się naturą wyższą — umysłem wybranym.

Jedno tylko wspólne im było: to chwilowo się objawiająca pewna złośliwość i pogarda ludzi. Źródło tych uczuć mogło w nich obu być odmienne; sposób, w jaki się wyrażali — miał w sobie coś pokrewnego.

Uderzyło to pannę Michalinę. Chwilami coś w uśmiechu, intonacji, ruchu rąk, wejrzeniu tak jej żywo przypominało Sylwana, iż drgała mimowolnie.

Waclaw, choć trochę zmieszany w początku, nadto znał wyższość swą, zbyt pewnym był sukcesu, by się bardzo prędko nie wyswobodził z wrażenia i nie stał samym sobą — to jest świetnym zjawiskiem.

Milionowy pan, piękny mężczyzna, dobrze położony w świecie — nie mógł zwątpić o sobie. Panna Michalina podobała mu się nadzwyczajnie.

Nawet pewien chłód ostrożny, z jakim go przyjmowała, — nie zrażał go. Piękność czyniła mu ją nadzwyczaj sympatyczną — im dłużej się jej przypatrywał, okiem znawcy oceniając wszystkie doskonałości i wdzięki twarzy, postaci, głosu, wejrzenia — tembardziej był zachwycony.

Dla niego był to ideał żony, jaką marzył dla siebie. Nie mógł jej szukać w Anglii, gdzieby może najłatwiej znalazł piękność dystygowaną i poważną — w kraju żadna jeszcze panna tak mu się stworzoną na panią Waclawową nie wydała.

Przytem majątek, imię, jedynactwo, charakter matki, nadzieje na babunię — wszystko czyniło ją partya najpożądniejszą.

Kochać się, w znaczeniu tego wyrazu zwykłym, nie mógł p. Waclaw; był nadto prozaicznym i praktycznym. Mówiono wiele o różnych jego dwuznacznych stosunkach, gdy był młodszym, wszystkie one ciężko się skończyły, bez żadnej katastrofy — a teraz znano go tylko jako młodzieńca chcącego się ożenić, któremu — w przekonaniu większości — żadna panna w świecie odmówić nie mogła.

Wielki los czekał tę, która miała wyjść za niego.

Gdy po dość przeciągniętej rozmowie, na którą zwracano oczy ciekawe, pan Waclaw w ostatku odszedł, a Misia została sama — pozostało jej po nim wrażenie osobliwe — jakby temu człowiekowi zbywało umysłowo na jakiejś władzy nierozbudzonej czy zmarłej. Wychowanie, uczyniło z niego co tylko mogło — natura skaleczyła go w kolebce.

Przecucie mówiło też — iż to, co się pospolicie sercem nazywa — nie istniało u Nitoslawskiego. Pojmował on, że czynić dobrze nakazywał rozum, ale popędu do dobrego nie przynosiło mu uczucie. Dawał jałmużnę, jak podatek; litości nie rozumiał. Misia pomyślała:

— Jeżeli mi go przeznaczają — sto razy wolę

nie iść za mąż. Ten człowiek wzrokiem-by mnie na śmierć zamroził.

Ci, co widzieli zdala pannę Michalinę rozmawiającą z p. Waclawem, począwszy od matki—zupełnie się w domysłach omylili. Rozmowa szła tak gładko, towarzyszyły jej takie uśmiechy, znaki porozumienia, że p. Zawierska rokowała jaknajpomyślniej.

Jedna z dam zawyrokowała zdala dość zabawnie o Nitosławskim, że był: *correct*, i to go może najlepiej malowało.

Nie popełnił najmniejszej niezręczności, a gdy wyszedł z salonu, mógł z sobą wynieść to pocieszające przekonanie, iż nikt w świecie na jego miejscu lepiej-by się znaleźć nie umiał.

Horpiński wrócił do mieszkania swego, rozdrażniony do najwyższego stopnia—nie mogąc długo zebrać myśli. Burza jakaś wrzała mu w piersi. Miał zwyczaj, gdy się czuł tak poruszonym, szukać ukojenia w przymusowej pracy.

Rozebrał się natychmiast, porwał książkę i chciał czytać, ale oczy tylko chwytaly litery—umysł był gdzieindziej. Zmuszał się, powracał do przebieżonych wierszy—i nie podobna mu było się zwyciężyć.

Rzucił w końcu książkę. Potrzebował rozważyć, jak miał postąpić: uciekać, zniknąć, czy śmiało stawić czoło nieprzyjemnym następstwom?

Widocznem było, że Nitosławski nie bez myśli kazał się przedstawić Zawierskim.

Horpiński o pannę nigdy się starać nie myślał, ale mimo to był zazdrosnym. Bolało go serce. Oprócz tego położenie jego miało stronę drażliwą, śmieszna.

Wnioski z tego podobieństwa rysów, niemogące szkodzić arystokratycznego pochodzenia panu Waclawowi, na mało znanego nazwiska Horpińskiego jakiś fałszywy cień rzuciły. Nieprzyjaciele, próżniacy, plotkarze—mogli wyzyskiwać wypadek.

Najłatwiej było nazajutrz zaraz się na konia lub bryczkę, odjechać do Rusinowego Dworu i tam przesiedzieć kilka miesięcy, dopóki-by się nie rozwiązały konkury o p. Michalinę—i nie ustało paplanie.

Lecz zniknięcie takie, nie mogło się inaczej tłumaczyć, jeno ucieczką.

Sylwan zaś w życiu nie zwykł był nigdy i przed niczem uciekać. Samo przypuszczenie tchórzostwa, upokorzenia—doprowadzało go do szaleństwa. Pod tym uciskiem losu całą energią duszy swej—opierał się i hartował do obrony.

Przez całą noc służący słyszał go przechadzającego się po pokoju—palił cygaro po cygarze, chodził niemy, błady i nie znajdując w sobie żadnej zbawczej myśli. Musiał pozostać na miejscu—pokazywać się na salonach, milczeć, cierpieć, męczyć się, uśmiechać—uciekać nie mógł.

Prawdopodobnem było, że się gdziekolwiek znowu z Nitosławskim spotkać mieli—zrobienie nawet znajomości mogło się stać nieuchronnem.

Potrzeba było stanąć do tej śmiesznej walki, której przyczyny określić się nie dawały z niewzruszoną krwią zimną i powagą.

Horpiński nie mógł unikać zbytnio ani salonu Zawierskich, ani innych domów, w których bywał zwykle, bo byłoby to uderzającym,—chociaż spotkanie się z Nitosławskim było niezdolne.

Zaraz nazajutrz pokazał się na ulicy, poszedł do teatru, starał się, aby go widziano—rozmawiał dosyć wesoło z osobami, które spotykał, tak żeby się nie mogły domyślać, iż ciężkie brzemię nosił na duszy.

Co się tycze p. Waclawa, zdarzenie zarówno nieprzyjemne—było daleko w jego położeniu lżejszem do zniesienia. Cóż to go mogło obchodzić, że ktoś był do niego podobnym?

Nie miał tak delikatnych uczuć, aby go cudze cierpienie obchodzić mogło wielce. Kilku znajomych bliżej rozpytywał od niechcienia o Horpińskiego. Wszyscy zgodnie poświadczyli, że był człowiekiem najlepszego wychowania, towarzysztwa i pod względem majątkowym zupełnie niepodległym. Znano go tu od lat wielu, żyjącego na stopie bardzo przyzwoitej, a długów nie miał

żadnych. Ludzie poważni odzywali się o nim bardzo pochlebnie.

Nitosławski, słuchając, milczał i zagryzał wargi.

W ciągu dni kilku, pomimo, że oba krażyły po mieście i w jednych domach bywali, szczęściem nie spotkali się już nigdzie okowoko.

P. Waclaw potrzebował bawić się, nawykłym był do ludzi, samotności nie znosił. Prowadzeniu się jego nic zarzucić nie było można, ale miał słabostkę do uctowania i wesołego gwarzenia przy szampanie. Mówiono, że bardzo krótka służba wojskowa nazwyczaja go do tego.

Porobiwszy liczne meżkie znajomości, zapraszany na obiady, wieczory, niechając być w długu—w końcu Nitosławski chciał dowieść, że umie być wdzięcznym i że potrafi gości też przyjąć z „szykiem“.

Pozapewnieniu się, że Bouquerel odpowie wszelkim wymaganiom europejskiego smaku, — postanowił dać obiad dla swych znajomych i nowych przyjaciół.

Zamawiając go u francuza, po przedyskutowaniu *menu* i win jakie podawane być miały, zakończył tym frazezem:

— Niech pan raczy pamiętać, że mi wcale nie idzie o to, co obiad kosztować będzie, ale wielce o to, aby mnie i pana nie skompromitował. Powinien być takim, ażeby o nim po roku jeszcze wspomniano.

Francuz skłonił się pewien siebie, że mając *Carte blanche*, odpowie położonemu w nim zaufaniu.

Kilkanaście osób zaproszonych, wybranych z najlepszego towarzystwa, do których umieli się przyłączyć dwaj pasażerzy, co sławę biesiady roznieść mogli po świecie: Kapitan Lurski i chudy a gadatliwy Salwator—składali owo kółko, które p. Waclaw w osobnej salce hotelu miał przyjemność ugaszczać.

Samo pojrzenie na zastawę stołu przekonało Nitosławskiego, że mógł być spokojnym—i że obiad wstydu mu nie zrobi.

Kapitan Lurski, wielki gastronom, który umiał stanąć z Waclawem w krótkim czasie na stopie poufałości—a razem służyć mu gorliwie, przywłaszczył sobie urząd wice-gospodarza, pod pozorem, że on tu był, jak w domu.

Goście, po większej części ludzie młodzi, lub chcący być jeszcze młodymi, w najlepszych humorach zasiedli do stołu, wiedząc, że ich czeka jedna z tych uczt monumentalnych, które po sobie rzadko niestrawność, zawsze miłe zostawiają wspomnienia.

Nitosławski w talentem umiał mówić o niczem, bawił dowcipem pożyczanym, ożywiać towarzystwo i tonowi meżkiej rozmowy nadać tę swobodę przyzwoitą, która pozwala mówić o najdrażliwszych rzeczach, nie przechodząc w trywialne grubiaństwo. Lurski był w tem także mistrzem.

Aż do drugiego podania wszystko szło nadzwyczaj składnie i ożywienie rosło. Oczy zaczęły błyskać coraz jaśniej, usta otwierały się coraz szerzej, i nieznanie od ogólników przechodzono do faktów miejscowych, aby gościa, p. Waclawa, wtajemniczyć w życie stolicy.

Z pewnem umiarkowaniem, ale nie bez złośliwości mówiono o domach, w których Nitosławski bywał, o kobietach, o pannach na wydaniu, o młodzieży. Przyzwoitość tylko Zawierskich wcale tknąć nie dozwalała. Wiedzano, że p. Waclaw miał pewne zamiary.

Wstrzymywała i przytomność Pruszczyca, przyjaciela domu, który na obiad był zaproszony i siedział jakiś milezący, niekoniecznie rad tej Lukulusowej uczcie. Kapitan Lurski zabawiał go, jako kolegę.

Przy deserze z wystąpieniem szampana, najpierwszych mark, wesołość i swoboda silnie się spotęgowały. Pruszczyca tylko pil bardzo umiarkowanie i dolewać sobie nie dozwalał. Języki się rozwiązały, żarty i dowcipy stały się coraz śmielsze.

Wstając od stołu do czarnej kawy i likworów, wszyscy byli kochający, przyjacielscy, gadatliwi, śmiejący się, szczęśliwi. Kupkami obozowano po salonie.

Nitosławski na kanapce przysiadł chwilę, z dobrodusznym owym hrabią Antonim, który go wprowadził do Zawierskich.

Uderzył go po kolanach poufale, nalewając mu Chartreuzę.

— Jak sądzisz, kochany hrabio—czem się skończą starania moje?

Panna mi się nadzwyczaj podobała—jestem rozmarzony, rozkochany. Niezrównaną byłaby królową salonu. Dystynkcyą, takt, rozum, nauka, a przytem ta jej piękność.

Zimną jest dotąd jednak dla mnie.

Hrabia Antoni zapalał cygaro.

— Chcesz-bo koniecznie jak Cezar, zaledwie się ukazawszy—móź już wykrzyknąć—*veni, vidi*—i

Waclaw skrzywił się.

— Chciałbym nie tak nagłego zwycięztwa—odparł—ale choć nadziei, że je odniosę; a—*entre nous*—jestem przekonany, że gdyby nie pewne indywidualum, dalekoby mi szło lepiej.

Spojrzeni sobie woczy... pocziwy hrabia nie odgadywał. Nie miał on wogóle talentu domyslenia się.

— Kto taki?—spytał.

Nitosławski był szampanem i chartreuzą mocno rozgrzany—czyniło go to nadmiarę otwartym.

— Kochany hrabio, mnie nie zdradzisz—rzekł.—Boję się, aby ten nieznośny *sozios*, to nieprzyjemne zjawisko sobowtóra nie szkodziło mi.

Hrabia Antoni musiał chwilę podumać, aby zrozumieć: Horpiński mu nie przyszedł zaraz na myśl.

— A! mówisz o tym Horpińskim!—rzekł w końcu.—Ba! między wami niema żadnego związku, oprócz tego niemilego podobieństwa twarzy. Horpiński się o pannę nie stara: to wiadomo, zna ją od lat wielu.

— Ba!—odparł Waclaw—czuję w nim nieprzyjaciela! a że matka i córka wielkie w nim zaufanie mają—to nie ulega wątpliwości.

Po zwierzeniu się tem, trwało czas jakiś milczenie. Hrabia Antoni po obiedzie rad był silniejszych wzruszeń i nawet roznamiętnionej rozmowy unikać. Waclaw, przeciwnie, obiadem był ze zwykłego sobie umiarkowania—wykolejony.

Niezupełnie panował nad sobą.

— Hrabio—rzekł po namyśle—słowo honoru, że wszystko to pozostanie pomiędzy nami!

Wielkie oczy wytrzeszczywszy pocziwy powiernik, z pospiechem rękę podał, zaręczając, że tajemnicy dotrwa.

Waclaw schylił mu się do ucha.

— To cała historia—rzekł—która sięga żywota. ś. p. ojca naszego; nie miałem szczęścia znać go prawie, mało bardzo pamiętam, odumarł nas młodem.

Nierychło, gdyśmy doszli do pełnoletności, ja i mój brat—znasz go, tak do mnie podobny jak Horpiński—zaczęłam się w papierach po ojcu rozpatrywać i o nim rozśluchiwać w okolicy, informując u tych, co go osobiście znali.

Ojciec nasz, wszyscy mu tę sprawiedliwość oddają, był człowiekiem nadzwyczaj prawym i szlachetnym, ale miał ludzkie słabości. Mówią, że lubił kobiety piękne i łatwo się rozmiłowywał.

Tych jednak młodzieńczych miłostek jego, gdy się raz ożenił, nie pozostało najmniejszego śladu. Głuche wieści krążyły o nich—którym przyjaciela ojca zaprzeczali.

Dziwnym trafem, rozbierając papiery i rozrachowując fundusze jakie po ojcu pozostać były powinny, trafiłem na ślad wyraźny, że kilkakrotnie stotysięcy brakło—których rozporządzenie najgłębsza okrywała tajemnica. Było to dla nas zagadką. Nierychło potem od starych ludzi zasłyszalem, jakoby ojciec, młodym będąc, zakochał się w prostej wiejskiej dziewczynie, nadzwyczajnej piękności, utrzymyвано nawet, że się z nią potajemnie, mimo oporu rodziny ożenił, miał syna—i z największą trudnością potem przyszło to małżeństwo nieważne rozerwać, a ojca z matką naszą ożenić.

Co się stało z tą pierwszą kochanką czy żoną, z tym synem?—wpadli jak w wodę — ani słychu. Mówiono, że wyposażona hojnie kobieta, wyniosła się gdzieś daleko—że dziecko powierzone było na wychowanie jakiemuś nauczycielowi, który miał jaknajstaranniej czuwać nad niem aż do lat dojrzałych.

Wszelkie podobieństwo mówiło za tem, że znikłe kapitały ojca, który nigdy utracyszem nie był—musiały przejść na tego... nieznanego nam... syna chłopki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POLSKIE PANIE I DZIEWICE.

Książka czeska Edwarda Jelinka. — (Praga, 1883 r.).

Z niezapominajek ułożył równiankę młody pracownik pobratymczej literatury, równiankę, którą poświęca „siostronom polskich pań i dziewic w Czechach, na Morawie i Szląsku“ (rozumie się czeskim), aby przyjrzały się, jakie te kwiaty rosną na sąsiedzkiej, bratniej niwie. Kilka kwieci niezapominajek owych dał już poznać wprzód rodaczkom swoim, cały zaś bukiet złożył im w darze na gwiazdkę w końcu roku zeszłego.

Wiele pisano o nas, różni różnie nas sądzili, dobrze i źle, częściej źle, bo też wybierali się do nas nierzadko ludzie, albo zgóry już nieprzychylnie usposobieni, albo niezdolni poza różnicą nieznaną im obyczajów dobrze sądzić i cnotę może też u nich nieznaną dostrzedz, a wady tylko i braki uderzały ich oczy. Pan Edward Jelinek umie patrzeć, nie tylko dobrze, ale i głęboko — a obecnie książka jest dowodem rzadkiego dzisiaj, szlachetnego idealizmu, doszukującego się pięknych stron natury ludzkiej i zarazem talentu piśmienniczego, który spostrzeżenia jego odział w piękną szatę literackiej twórczości.

Książka p. Jelinka składa się z dwóch części — z uwag i z kilku obrazków, wspomnień z podróży.

Pierwsza część, pod tyt.: „Polki, kartka z dziejów życia narodowego i towarzyskiego“, jest prawdziwą niezapominajką, i to bynajmniej nie pobieżną kompilacją, ale studjum, dowodzącem, jak głęboko wejrzał autor w dzieje kobiet naszych w obecnym stuleciu. Charakteryzując w nader korzystny sposób przynioty i znamiona ich, cytując Kraszewskiego, Pola i twierdzi, że w kobietach polskich widzi przechowaną tradycją starosłowiańskiego obyczaju. Przechodzi potem do rozwoju kwestyi niewieściej u nas i przedstawia trzy zasady, „działające kolejno, z których każda zapuściła zdrowe korzenie dla dobrego rozstrzygnięcia sprawy, tak ważnej dla każdego narodu“. Naprzód staje Hoffmanowa, pragnąca, by „Polki w rodzinnej skromności główną pieczę poświęcały ognisku domowemu i przy nim szukały jedynej niemal działalności swego żywota“. Potem, za dni entuzjastki, Narcyzy Zmichowskiej, „troskano się z zapałem o równe stanowisko niewiasty z mężczyzną w ruchu duchowym“, a w najnowszych czasach, wystąpiła kwestya praktyczna, to jest ta, która „niewieście zyskuje równe prawo i równe znaczenie w życiu publicznym“.

Maluje więc autor szczegółowo działalność Hoffmanowej, Zmichowskiej, potem przystępuje do autorek Polek, począwszy od księżniczki Czartoryskiej, kładzie nacisk na to, że od 1,800 roku zjawiało się najmniej dwieście pięćdziesiąt kobiet piszących, „co jest niepomiernym stosunkiem wobec czynności kobiet u innych narodów“. Jako niewiasty w życiu praktycznym, p. Jelinek przytacza panią Dobrzycką i jej córkę Salomeę, Klaudynę Potocką, Różę Sobańską, którym poświęca karty, pełne głębokiej czci i uznania; nie pomija wszelako i innych kobiet, zaznaczając ich zasługi choć krótką wzmianką. Na końcu opowiada o Honoracie z Wiśniowskich Zapowej, Polce i autorce czeskiej, której wspomnienie opromienia swym blaskiem dzieje stosunków pomiędzy dwoma pobratymczymi narodami.

Drugą część stanowią sześć obrazków — wspomnień z podróży, niemal nowelek, przynajmniej w stylu powieściowym nakreślonych. Tu poznajemy w całej szlachetności talent pisarski pana Jelinka, jego przyrodzoną poetyczność, delikatne ujęcie pendzla, misterne cieniowanie szczegółów, a nadewszystko miłą prostotę, silnie przejmującą serce czytelnika, oraz poczciwy zapał dla wszystkiego, co piękne, choć w skromnych ramach i wielkie, choć w małym zakresie.

Są to istne brylanciki, oszlifowane delikatnie i oprawione nie jaskrawo, ale tak pomistrzowsku, że ogień ich błyska w całej świetności. Tytuły ich są: Wanda, Zosia, Marya, Gilda, Sylwina i Aniela — każda inny typ szlachetnej niewiasty, każda odfotografowana z życia, ale z niewysłowioną sztuką w wyborze osoby i w ułożeniu akcesoryów, w śród których postawioną została. Doprawdy, na serce pada niby promień niebiański, wiara w życie, w ideały ludzkości — mimowoli budzi się wdzięczność dla zacnego pobratymca, który coś podobnego umiał z naszego życia wyczytać. Nie podejmujemy się opowiadać treści tych obrazków, bo zadanie to trudne z wielu względów.

Pan Jelinek obiecuje w przedmowie napisać dla Polek książkę o Czeskach. Niech nam opowiada o ich cnotach domowych, o skrzętej pracy gospodarczej. Dziś naród uczy się od narodu, błędy bierze sobie za przestrożę, przynioty i zasługi za wzór i podniętę do własnego rozwoju, dziś stoimy jakgdyby u progu współzawodnictwa w dziele postępu, w doskonaleniu ludzkości, współzawodnictwa tyle różnego od dotychczasowych międzynarodowych waśni. A więc o nich p. Jelinek uczy nas tego, czego się od Czeszek nauczyć możemy. — Czekamy!

Dziełko p. Jelinka wychodzi obecnie w przekładzie chorwackim, ma wyjść także przekład serbski i bułgarski. Dzięki jemu, sława naszych kobiet przedrze się na południe słowiańskie, gdzie dotąd o nas wiedzą bardzo mało.

B. G.

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Kwietniu 188 r.4

Charakter wystawy Sztuk Pięknych. — Malarki. — Malowanie posągów. — Polscy malarze. — Dwie propozycje. — Nowy pomysł wystawy łowieckiej. — Orły hr. Dzieduszyckiego. — Mierzwiński. — „Wychośanie dzieci“ przez baronową Rosen. — Curiosum.

(?) Czas przejściowy, gdy sezon zimowy zabaw już się skończył, a sezon wyjazdów jeszcze się nie zaczął, przeznaczony bywa rok w rok na wyłączone panowanie sztuki. Zanim się otworzą wystawy natury, gór, „wsi spokojnej i wesołej“ i zakładów kąpielowych, potrzebują ludzie otrząsnąć proch szarów w świątyni sztuki, a wystawy ptaków i kwiatów dają przedsmak natury.

Doroczna wystawa sztuki w Künstlerhausie jest bardzo zajmująca, ale nie przynosi nic ważnego, ani tak znakomitego, żeby ztąd o postępie sztuki i podniesieniu się jej godności i znaczenia jakiegokolwiek wnioski wyciągać można. O dzisiejszym stanie sztuki daje jednak wystawa prawdziwe wyobrażenie, lubo prac pierwszorzędných artystów prawie nie ma. Najpiękniejsze są portrety (Angeli, Blaas), a między niemi i przeznaczony do parlamentu portret prezesa Smolki.

Najliczniejsze, wysmienite są obrazy rodzajowe, t. z. „Stilleben, Sittengemalde“, obrazy, które są w malarstwie niejako tem, czem w poezyi gawędy. Znajdujemy tu bardzo wiele talentu obserwacyjnego, trafnej charakterystyki, uczucia, poezji, obok techniki i wprawy oddanej poprostu na służbę kopiowania tego, co się widzi, z całą przypadkowością scen i zwykłością ludzi bez podniesienia tych kopii natury, tego realizmu do wartości artystycznej. Jest to jakby gładkie rymowanie na oklepane temata, bez twórczego u-

kładu, bez duchowego ożywienia. Większość atoli tych obrazów jest jakby sennem schroniskiem dla poezji powszedniego życia. Poezji wyższej, niepowzedniej — daremnie-by szukać w dzisiejszych społeczeństwach; truano o nią i w piersiach artystów *nazbyt licznych*.

Obrazów wielkich historycznych niema. Podnoszą, wielbią Canona obraz religijny: Matkę Bożką ołtarzową. Jest to jednak obraz religijny nazimno, jest to dowód mistrzostwa kompozytcy i techniki na dany temat w stylu prerafaeliicznym, staroniemieckim. Jest to bardzo zręcznie robione, ale robione: to nie religijny obraz, ale wyborne studjum.

Są na wystawie prace *czternastu* malarek. — po większej części krajobrazy, nieco i rodzajowych. Krajobrazy zdają się najwięcej odpowiadać usposobieniu kobiecemu, a wogóle wszystkie te obrazy są robione starannie, mają prawdziwą wartość. Odnaczają się między malarkami: Camilla Friedlaender, Wiesinger-Florian, Maria Egner, Ehrler Max, Fritze Mikesch, Hermina Lang-Laxis, Hermina Preuschen, Anna Peters, Maria Kirschner, siostra nowellistki, Ossip Szubin, Hanna Rokty...

Wyjątkowo liczną jest tego roku wystawa rzeźb; lecz jest potemu miejscowa, przemijająca przyczyna. Wszystkie prawie wystawione rzeźby są przeznaczone dla ozdoby wielkich nowych gmachów wiedeńskich, jak: parlament, ratusz, teatr i muzea nadworne, uniwersytet. To przeznaczenie, jako sztuki dekoracyjnej, dodatkowej, nie samodzielnej, warunkuje kompozycją tych utworów. Są to fryzy, płaskorzeźby, posągi i grupy alegoryczne — np: administracyi! triumf Bachusa, pokora, egoizm, heroizm i t. p. Dla każdego z tych posągów możnaby dobrać kilka zarówno stosownych tytułów. Najtrudniej atoli pogodzić się z posągami nieallegorycznymi, przedstawiającymi ludzi znakomitych, a które mają stać — na dachu. Patrząc na te gmachy olbrzymie, które mają na dachu galerye, a na nich nakoło szeregi posągów, trzeba najpierw żałować trudu i talentu artystów; gdyby bowiem tam wysoko najgrubsze bryły stały, robiłyby na widzów, mogących jedynie zdołu patrzeć, toż samo wrażenie, co dzieła artystyczne. Widać coś niby o ludzkich kształtach, ale nie więcej.

Potem przychodzi uwaga: czy to jest logiczne i godziwe, żeby posągi znakomitości stawić tam gdzieś na miejscu jedynie dla kominiarzy właściwem? Zdaje mi się, że architektura nowoczesna nadużywa rzeźby dla swojej dekoracyi, naśladować w tem niby Greków. Zapomina jednak, że budowle greckie były niskie, a posągi na nich nadnaturalnej wielkości, że można je było oglądać z dołu. Pojmuję fryzy, reliefy w ścianach, a nawet na dachu olbrzymie kwadrygi, pegazy, grupy i figury alegoryczne, które się po głównych liniach rozpoznaje; ale bohaterowie, politycy, poeci, uczeni wynalazcy — na dachu, — to już chyba mylne i śmieszne.

Pod względem rzeźby podniesiono tu znowu kwestyą: czy należy posągi malować? Powodem do tego stał się posąg Austrii, który wykonał Benk dla ozdoby westibulu w nowym pałacu Laenderbanku. Jest to królowa, której ciało jest z żółtawego marmuru, a ubiór t. j. sandały, płaszcz, pancerz, tarcza, korona ze złoczonego brązu. Professor Tren z Drezna miał wykład w tym przedmiocie w klubie naukowym. Professor oświadczył się gorąco za polichromią rzeźby. Nie żąda on realistycznego kolorowania, ale o użycie pewnych do materyału stosownych barw dla ożywienia, dla usunięcia monotomii. Posągi na fasadach, w mieszkaniach, w salach wielkich zyskałyby według niego na wyrazistości, a przez nie wypełniałyby się architektura ciepłem. Lecz nie idzie mu tylko o dekoracyę, ale o to, żeby rzeźba używała barw tak samo jak malarstwo, a dlatego, że ich natura używa. Fidiasz i Praxiteles w ubarwieniu rzeźby nie widzieli nic barbarzyńskiego, toż samo sztuka średniowieczna. Odrodzenie tworzy ubarwione popiersia. Egipcyanie, Grecy, Rzymianie ubarwiali posągi, łączyli z marmurem złoto i kość słoniową; dowodzą tego i posągi w Pompei znalezione. Na posągu Wenery są bar-

wy szat zielone i żółte, oczy i włosy czarne; tożsamo na posągu Herkulesa.

Semper słynny powiedział, że dopiero wtedy rozumie się grecką rzeźbę zupełnie, jeżeli się ją obejmie w jej pełnej barwności. Starożytni i kształty i barwy idealizowali, doprowadzali do doskonałej delikatności. Nikias malował posągi Praxitelesa. Na okaz przedstawił prelegent ubrany posąg kobiety z Herkulanum odtworzony w pierwotnych jego barwach, a zarazem tensam posąg bez ubarwienia. Udowadniał, że fałdy, kształty, linie na ubarwionym nierównie wyraziście się rysują i odcinają, a całość gry barw ożywia posąg. Wreszcie zakończył, tem, iż rzeźba domaga się barw, i taksamo, jak musiano się pogodzić z tem, żeby posągi ubierały w szaty nowożytnie, zamiast w greckie, lub fantazyjne, taksamo musi prawa swoje odzyskać ubarwiona rzeźba, i powstanie wtedy nowa sztuka dla domu i ludu. Artyści i publiczność muszą w tym celu współdziałać.

Poglądy te lekceważą sobie wszystkie nasze teorie o rzeźbie, o działaniu jej przez linie kształtów, o jej własnym światłocieniu i t. d. Trudno się też na razie pogodzić z temi rozumowaniami, lubo one dla *naszych* artystów otwierają wielkie pole, wyzwalając ich z pod monopolu białego, włoskiego marmuru. Wszelkie bowiem kolorowe marmury szare, brunatne, różowe, czarne i t. d., posiadamy w kraju. Lecz ów wspomniany posąg Austrii, nikogo na estetyczną wiarę profesora Treña nie nawróci. Posąg ten jest najzupełniej chybiony; jest to królowa, ale chyba z operetki, królowa niby w złote szaty ubrana, ale przecież w znacznej mierze wcale nie ubrana. Jest to dysharmonia, tembardziej rażąca, że fałdy szat odkrywające nagie kształty są w sposób najnieśmaczniejszy skupione i spuszczone. Tutaj jednak krytyka chwali to dzieło, a nawet głoszą, że Benk dokonał wielkiej reformy, że zerwał z komunałem, z szablonem postaci przedstawiającej zwykle Austrię, — że stworzył postać żywą, młodą, która się stanie typową. Może — ale ja powołałem się np. na Jul. Klaczkę, według którego rzeźba ta jest chybioną — i brzydką. A piszę tu o niej, żeby zwrócić na nią uwagę przejeżdżających artystów polskich, ażeby poznali: jak posągów polichromicznych robić nie należy.

Polska sztuka zaledwo dała znać o sobie na wystawie — a co gorsza, dopuszczono się wielkiego błędu, przysyłając dzieła poronione, czy niewykonczone. Są takimi dwa wielkie niby historyczne płótna: „Bitwa pod Orszą“ i „Wjazd Jądwigi“. Autorowie ich uczą się pod kierunkiem Matejki, poznać to po ich... usiłowaniu; lecz bogactwo barw jest u nich jeszcze chaosem, któremu odpowiada bezład albo przeładowanie układu.

Przedewszystkiem nie widać wcale dbałości o największą zaletę mistrza, jaką jest potęga indywidualizowania, która sprawia, że każdy obraz Matejki jest dramatem pełnym życia. Styki *Mater benedicta* jest obrazem, który może być do religijnych policzony; sporo w nim ciepła i prostoty, a dla nas jest on sympatycznym przez wiele rysów swojskich. Ajdukiewicz dał dobrze wykonany obraz manewrów wojska austriackiego. Bardzo ładne trzy prace dał Rybkowski. Dwa obrazki są takzwane miniaturowe à la Meissonier, „Powrót od ślubu“ i „Jazda sanna“; trzeci obraz, duży, przedstawia „Jarmark w Przemysłu“. Układ jasny, typy wyborne. Obraz ten będzie nadesłany do Warszawy. Z rzeźbiarzy naszych stanął jeden — Gądomski. Prawie naturalnej wielkości marmurowa „Herodiada“ schodzi po stopniach, niosąc na misce głowę św. Jana; głowę odwróciła, żeby nie patrzeć na ofiarę; krytyka tutejsza chwali ten motyw jako nowy. Cała postać jest wdzięczna, a głowa św. Jana znakomicie wykonana. Oto jest wszystko polskie. Leopolski mieszka w Wiedniu, ale znaku życia nie daje.

Gdyby to nie było pewnikiem, że rzeczy najprostsze i najłatwiejsze wcale się łatwo nie przyjmują, to należałoby przeprowadzić dwie rzeczy. Najpierw, żeby artyści polscy uznawali udział w wystawach zagranicznych, jako sprawę publiczną, cały naród obchodzącą, która zatem powinna być owarunkowaną. Tylko utwory uznane już za dobre,

powinny być na zagraniczne wystawy wysyłane, inaczej szkodzą imieniu polskiemu, narażają sławę narodu na złe języki. Każdy więc obraz powinien przed wysłaniem go podlegać cenzurze *domowej*, a sądzimy, że powinny być stałe komitety Towarzystw Sztuk Pięknych, lub umyślnie do tego złożone grona. Powtórę, nasze Towarzystwa Sztuk Pięknych, gdyby wzięły w swoje ręce organizacją udziału artystów naszych w zagranicznych wystawach, mogłyby i tę ztąd odnieść korzyść, że zagraniczne towarzystwa weszłyby z nimi w układ wzajemności: naprzykład towarzystwo warszawskie posyła obrazy do Wiednia, wzamian Wiedeń swoje na kilka tygodni do Warszawy. Praktykuje się to gdzieindziej, artyści chętnie się temu regulaminowi poddają, a korzyści i dla nich i dla publiczności są tak widoczne, że niema potrzeby ich wyłuszczać. Może powołani do tego ludzie zechcą podjąć i wykonać te propozycje. Bywa bowiem przecież czasem, że się coś przyjmuje. Tak naprzykład najpierw w „Bluszczu“ zaproponowałem, że lubo u nas trudno o urządzenie kolonii wakacyjnych, możemy jednak to samo osiągnąć, wysyłając dzieci po jednym na wieś do dworów. W Poznańskim już się to dzieje. Druga propozycja, żeby młodzież doroslejsza, pod kierownictwem starszych, podczas wakacyi zwiedzała zbiorowo różne okolice kraju, głównie pieszo — zaczyna już przyjmować się we Lwowie. Ale to w nawiasie.

Równocześnie druga wystawa w Wiedniu jest próbą nowego pomysłu. Nie ulega wątpliwości, że zwykły sposób urządzania wystaw, to jest obwieszanie całych ścian obrazami, jest pozbawiony wszelkiego smaku i sensu. Dobre to jest dla kolekcji owadów, szeregować je jak wojsko, na szpilkach, ale inna rzecz z dziełem sztuki, dla którego potrzeba otoczenia harmonijnego, taksamo, jak potrzebuje go umysł, żeby mógł widokiem piękną prawdziwie się cieszyć. Trzeba, żeby wystawa tworzyła pewną całość, a w niej każdy szczegół umieszczony był na właściwym miejscu. W duchu tego poglądu, urządzono w Kunstvereinie wystawę łowiecką w ten sposób. Sale przedstawiają wnętrza zameczku łowieckiego, z całym urządzeniem, z wszystkimi przybarami; więc są tu wszelkie trofea łowieckie: broń, wypchane ptaki i zwierzęta gruba; meble nawet wszelkie są łowieckie: są ozdobione rogami i innymi przedmiotami odpowiedniami, lub też noszą kształty przystosowane. Znalazło się w tych salach miejsce i na całą galerię obrazów łowieckich, jak sceny z polowań, martwa natura i t. d., rozmieszczone tak, jak to bywa w mieszkaniach. Jest zatem cała galeria specjalna, nader zajmująca dla publiczności, a dla artystów nader naucająca. Są to obrazy dawne i nowe, olejne i wodne, rysunki i dekoracje, a wszystkie w otoczeniu zieleni choin, wieńców, rogów. Są tu i panoramiczne ustronia: alkowa w stylu Odrodzenia, ściany majolikowe, wieczór, pełnia księżycy; pani domu wita u progu wracającego z łowów małżonka; oraz grupa amazonek na tle alpejskiego krajobrazu.... Pomysł został świetnie wykonany; ale, oczywiście, jest to sprawa nader trudna, mozolna, kosztowna. „Intérieurs“ na wystawie elektrycznej, któremi publiczność nasycić się nie mogła, i średniowieczny zamek na wystawie w Gratzu, były to urządzenia tąsamą myślą natchnione; czytam też, że i w Turynie na wystawie taki zamek urządzono. Tutaj należy także plastyczna panorama krain podbiegunowych z wodami, górami, fauną i florą w oświetleniu zorzy polarnej — którą urządzono znakomicie na wystawie ornitologicznej. Publiczność wdzięczną była za tę możliwość oglądania krain, o których tyle czyta opisów. Na wystawie w Kunstvereinie honor polski ocalili orły nasze, sztuk 35, wszystkie w Galicji upolowane, nadesłane przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Był to okaz najznakomitszy, podziwiany przez cesarza i następcę tronu.

Nie ulega wątpliwości, że żadna sposobność okazania pracy, talentów, zasobów narodu nie powinna być lekceważoną i zaniedbywaną. Zawsze i wszędzie należy o sobie dawać świadectwo i nigdy nie można, wiedzieć co i kiedy pozyska sympatyą, wpłynie na umorzenie uprzedzeń, usposobi życzliwie. A już my pewnie na zbytek życzliwi-

ści u ludzi nie cierpimy. Każdy obraz Matejki, odczyty Dzieduszyckiego, występy Mierzwińskiego, którego nazwiskiem Niemcy się dławią, pojawienie się Dybowskiego, dar Ulanowskiego do Schoenbrunnu (3 kuropatwy żywe kaukazkie), dar pism ornitologicznych Kazim. Wodzickiego dla następcy tronu: to wszystko na swój sposób a zawsze jest pożądanem, użytecznem. Mierzwiński wywoływał tu prawie szal — a mogę poświadczyc, że na podawanych przez znakomite damy wachlarzach zapisywał słowa: „Dziękuję za sympatyą dla Polaków.“ —

Pomijam inne szczegóły z kroniki powszedniego życia, bo mam do zapisania wiadomości o bardzo dobrej książce: „Wychowanie dzieci za szczególnym względem na kształtowanie charakteru“, p. baronową Kathinkę (!) von Rosen. Następujące słowa wstępu najwierniej wartość książki oddają: „Wychowałam się, ani podług Froebela ani podług Pestalozzowego; rosłam wogóle wbrew wszelkim regułom pedagogiki. Lecz dobry i rozumni rodzice kierowali moją młodością; pamięć szczęśliwego życia rodzinnego, wiernej, miłości rodzicielskiej, daje mi prawo, mimo braków w moim wykształceniu pedagogicznem, do odezwania się do matek z powinnem upomnieniem.“

Zdrowy rozsądek, prostota, prawda, doświadczenie zalecają tę książkę nawskróś praktyczną. Autorka zaczyna od niemowlęcia, doprowadza do dojrzałej młodości, od wychowania fizycznego przechodzi do duchowego, z izby dziecinnej do życia towarzyskiego i salonowego. Każdy wiek obdarza uwagami i radami, a nieraz smaga słabości i nadużycia. Z goryczą występuje przeciw tłumieniu idealizmu u młodzieży. Nieprędko zapewne dzieło to w oryginał lub w przekładzie u nas się pojawi; więc warto na tem polu nieco ziarn pozbiierać. Poznamy z nich nastrój dzieła, a to może zachęci do zapoznania naszej publiczności z całością.

„Niekorzystnie wpływa na charakter dzieci pobudzanie ich wyobraźni obrazami strachu. Bojaźń, tchórzowstwo można dziecku wpoić. — Jeżeli dziecko jest żywe, nienależy mu opowiadać klechd, ale kierować jego umysł do rzeczy zwykłych, nie natężać zbyt mocno jego głowy, niechcieć robić z niego wczesnego geniuszu. Zabawki niechaj będą najprostsze, tożsamo sukienki; ale dobrze jest mieć osobną izbę dla dziatwy. Do szkoły niech matka dzieci samą odprowadza i chodzi po niej. Szkoły publiczne są błogosławieństwem dla chłopców, dla dziewcząt są szkodliwe (?); dziewczęta należy bezwarunkowo wychowywać w domu. Wczesną naukę obcych języków autorka wielce gani; jest to trwonienie czasu i pieniędzy. Narzeka, że dzieci nasze zamało się bawią na wolnym powietrzu, zawiele siedzą w izbie. „Wieczory i balet dla dzieci są dla ciała i duszy ruiną; każda kobieta, która je urządza, popełnia moralne przestępstwo“.

Niechaj matka nigdy nie uwłacza powadze ojca. Biada dziecku, które rośnie w domu, gdzie matka berło dzierży; źle się tam dzieje. Od 12-go r. życia radzi autorka chłopców oddawać z domu do zakładów. Dlaczego? Można by się spierać. Przy wyborze nauczycieli domowych baczyć na charakter więcej, niż na naukę. Wybór powołania powinien odpowiadać skłonnościom dzieci, nie rodziców. Jak szkoły, tak i pensjonaty autorka potępia: „Dziewczęta paplą niegdy po francuzku i po angielsku, mówią powierzchownie o literaturze i sztuce, dostarczają małych rysunków (najwięcej w nich roboty nauczyciela), nauczą się odbębnić na fortepianie dwa lub trzy brawurowe kawałki: *voilà tout*; to się nazywa wykształceniem“. Prawda, że ideałem będzie zawsze wychowanie w domu, ale jakże często jest ono niemożliwym. Zresztą i pensjonaty mogą być bardzo dobre. Autorka odradza kierunek artystyczny bez wybitnego talentu.

„Jest to strata czasu, zatrącenie zamięłowania domowego życia i młodzieńczej prostoty. Lepiej zapoznać dziewczęta z zarysami chemii, botaniki, fizjologii, anatomii. Niech nikt nie sądzi, że znajomość własnego ciała wpływać może na moralność tak niekorzystnie, jak wstrętne francuzkie komedye wiarołomstw i dwuznaczne rozmowy wobec dzieci prowadzone“.

Najlepszy jest ostatni rozdział: o młodości doj-

rzalej i wejściu w świat, o lalkach obu płci, o troskach matek względem mężów dla córek. „Dziewczyna idzie na bal, nie jak dawniej, żeby tańczyć i bawić się, ale na targ i na licytacyę. Nasze bale niczem się nie różnią od targów niewolników.. Rodzice nie baczą, że oddają córkę na zgubę, jeżeli ją skłonią do oddania ręki mężczyźnie niekochanemu. Strzeżcie się wydawać córki na ofiarę; ani wiecie, ile nędzy sprowadzicie!.. Znam tylko jeden rodzaj mezaliansu: jeżeli mąż pod względem wychowania i wykształcenia stoi niżej odżony. Jeżeli dziewczyna idzie za bogatego, ale głupiego, popełnia mezalians... I on ma być twoim panem! Oto są pojęcia jedynie godne każdej młodej kobiety, która pragnie być szczęśliwą i uszczęśliwić.“

Tak przemawia poważna i doświadczona, a światowa kobieta-autorka.

Jako *curiosum* zanotuję tu wreszcie tom wierszy francuzkich: „Mes premiers vers“ wydany tu właśnie przez *wiedenkę* Aimée Landauer. Niezłe to wiersze, jest osnowa, czasem i uczucie, i dla siebie dla rodziny mogłaby to być przyjemna rozrywka i ćwiczenie. Ale wystąpienie publiczne z rośliną taką sztuczną, nie wiem jaki ma cel. Autorka dedykowała wiersze te Wiktorowi Hugo, a on jej odpisał: „Vos vers sont beaux, votre coeur est bon“. Zapewne ztąd wielka radość i duma w salonach znajomych, pańsko-miejskich. Ale jest to objaw nieodzowny.

Przestroga pedagogiczna.

Pod tym tytułem *Przegląd niemiecki* podaje wśród ogólnych uwag o życiu Niemiec wiadomość o smutnym wypadku — o zabójstwie popełnionem w saskim mieście Chemnitz przez piętnastoletniego chłopca, który wystrzelał z rewolweru zabił mało co od siebie starszego towarzysza — dla pieniędzy... Rzecz ta okrutna stała się już parę miesięcy temu, lecz obecnie sprawozdanie sądowe ogłasza pobudki czynu, wedle zeznań młodego zbrodniarza podane. Czytanie złych książek, z jednej strony nieuczciwych romansów naturalistycznych wedle wzoru Zoli, z drugiej powieści kryminalnych, dramatyzujących zbrodnie, zapaliło niezdrowo wyobraźnię młodą, a pragnienie przedwczesnej swobody i awanturnych przygód poddało myśl ucieczki do Ameryki, więc dla pozyskania potrzebnych na to pieniędzy nieszcześliwy chłopiec postanowił zabić kogoś, co je posiada — bez nienawiści, bez żadnego sporu i gwałtownego wzburzenia namiętności, zastrzelił z zimną krwią kolegę, współcznia!..

— „Chyba lepiej było, gdy młodzież czytywała poetów, gdy Fiesco, Tell, Wallenstein wzruszali młodą, do czynu zrywającą się meżkością“ woła piszący to Niemiec i wykazując, że wypadek nie jest odosobnionym i indywidualnym, że działający tu wpływ szeroki krąg zatacza i wszędzie jednakowe wydaje skutki, przywodzi przykład jednocześnie przypadłego zdarzenia. W Ameryce, w Stanie Ohio, sześciu chłopców z miasta Tiffin zostało oddanych na rok więzienia do domu kary i poprawy za zawiązanie bandy, której celem był rabunek i kradzież, głównie koni. Siódmy, przywódca ich i organizator, Warren Opt, uległ karze surowszej dwuletniego zamknięcia, a i tu akta procesu wykazały zupełnie te same pobudki: czytanie książek, składających tanie, a po wsiach i mia-

stach całej niemal Ameryki rozpowszechnione wydawnictwo: „Pięcioletnią Bibliotekę“, zawierającą przeważnie powieści kryminalne.

Zwłaszcza kradzież koni, złączona z awanturniczym przenoszeniem się z miejsca na miejsce przez dzikie obszary, z nadzieją przygód romansowych, pociągnęła do siebie młodych opryszków urokiem romantycznej swobody. Warren Opt deklamował przed sądem w tym sensie; ale był on już raz karany więzieniem w domu poprawy.

Dalej następuje jeszcze kilka przykładów ciężkich przekroczeń małoletnich przestępców, w Halli, w Berlinie, we Frankfurcie nad Menem dokonanych z jednej i tej samej przyczyny: ze złego czytania. Ale przykre te obrazy nie mogą już nic dodać wagi przestrodze, której znaczenie rodzice i opiekunowie młodzieży zrozumieć powinni. W Niemczech też smutny fakt, zwany tam słusnie „Tragedyą w Chemnitz“ silnie poruszył umysły i pobudził do uwag nad tak zwaną „Colportage-Literatur“. Jest to, względnie biorąc, nowość, z którą się wychowanie liczyć powinno. Jeszcze za ojców nie było ani takiej literatury skandalu, ani takiego jak za synów handlu złą książką. Istniała ona oddawna, ale w bardzo małej liczbie; na tajnych półkach księgarni, czy bibliotek schowana, służyła temu, kto jej chciał i szukał, gdy dziś wytworzyła się zbrodnicza gałęź przemysłu i książka psująca jest niejako gwałtem w ręce ludu, w ręce małoletnich wciśkana, i trzeba dziś tak przed nią się bronić, tak przed nią drzwi na klucze zamykać, jak przed złodziejem i podpalaczem, — którym też jest w rzeczywistości tego wyrazu znaczeniu.

Ale oprócz środków zapobiegających złemu przewencyjnie, należy pomyśleć o przeciwdziałaniu przez wpływ natury innej: przez rozpowszechnianie między młodzieżą, szczególnie klas średnich, takiej książki, któraby, odpowiadając wrodzonemu porywowi młodego zapału, wskazywała mu jednak cel szlachetny, dążności podniosłe. W Niemczech namyślają się nad wydawnictwem takim, które, jak czytelnicy naszego pisma wiedzą, istnieje już w Anglii dla tych celów właśnie.

Gdy parę lat temu umarł tam Harrison Ainsworth, bardzo płodny pisarz dramatycznych, malowniczych romansów historycznych, które przez średnie klasy angielskiego społeczeństwa rozchwytywane, były szczególnie ulubionem czytaniem tych, których gust literacki potrzebował efektów gorących i silnie działających na wyobraźnię, natychmiast pomyślano tam o zastąpieniu tego ubytku i zaczęło wychodzić tanie wydawnictwo historycznych romansów Walter-Skotta pod redakcyą znanej i u nas powieściopisarki, także żywego i malowniczego pióra: miss Bradton. Twórczość miss Bradton miała w sobie jedną niedobrą chwilę, w której powieść jej zbaczała na manowce i jakkolwiek zawsze niezłej tendencyi, zawsze czystych tylko obrazów — zbliżała się jednak do powieści kryminalnej przez wplecioną w treść jej zbrodnią i sensacyjny dramat, który się z jej powodu zawiązywał. Dziś autorka ta rozgłośnego imienia, umie tylko zaciekawiać, być żywą w kreśleniu wypadków i dla tych to właśnie przymiotów jej pióra powierzono jej skręcanie zbyt przewlekłych dla przeciętnego czytelnika obrazów i dialogów Walter-Skotta, co jakkolwiek jest w obec wyższej sztuki przestępstwem, i porywaniem się na szlachetne piękno, jednak ze względów bardzo też wysokiego znaczenia — ze względów użytku publicznego, wydawnictwo to nazwać trzeba pożytecznym i potrzebnym. Daje ono ląknącym tego czytelnikom książkę pełną gorącego interesu i dramatyczności, ale interes jest tu zwrócony ku naj-

szlachetniejszym, i dla życia ludzkiego na ziemi najwyższym przedmiotom; dramatyczność powstaje z gry najwznioślejszych uczuć i nie złodzieje, nie rabusie, nie zbójcy są tu bohaterami namiętnych sporów człowieka z człowiekiem, idei z ideą.

Takim być powinno czytanie młodzieży, która pierwsze, gorące wrzenie życia w piersi swej już uczuwa, a nie jest jeszcze zdolną do tej głębszej pracy myślenia, która sama sobie sąd o złem i dobrem czynić umie. Taka młodzież, szczególnie z klas średnich, mniej nauki i wskazówek przez nią dawanych dostająca, potrzebuje dobrze umiersonego pokarmu dla wyobraźni i uczucia, które w niej pierwszy proces przetrwania się odbywa i czuje też ona głód wrażeń, dających przedsmak życia, czego każda żywsza, gorętsza osobistość ludzka w tej chwili przejściowej z dzieciństwa do dojrzałości doświadcza. Otóż Niemiec, piszący w „Deutsche Rundschau“ słowo pedagogicznej przestrogi dla społeczeństwa swojego żąda wydawnictwa na podobny użytek z uczciwą, edukacyjną myślą dokonanego, a taniego. Kształcenie z dobrej woli prawdziwie lud kochających pracowników podejmowane, nie może się ograniczyć do samej książki naukowej, bo działając zgodnie z naturą człowieka, której wskazówek lekceważąc pomijać nie można, trzeba dać młodzieży pokarm i dla nasycenia władz jego umysłu innych, które się tego domagają. Jako wskazówkę wymienia on niektóre romanse Dumasa ojca: „Trzej Muszkietierowie“, „Monte Christo“. My mamy w tym rodzaju żywej fantazy i gorącego dramatu, który zaciekawia, wiele rzeczy Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Jeża, jak: „Szandor Kowacz“, „Uskoki“, „Murdelio“, „Annuncyata“, mamy powieści historyczne jak: „Historya o Janaszu Korczaku i pięknej miecznikównie“, „Bratanki“, „Powrót do gniazda“ i bardzo wiele innych jeszcze. Mamy teraz właśnie wyborne wydawnictwo „Złota przedza“ a zyskaliśmy świeżo arcydzieło w 1-ym zwłaszcza rodzaju: Siemkiewicz, „Ogniem i mieczem“, która to książka, przepyszna jako styl i obrazowanie, jako przedmiot wszelkim możliwym warunkom takiego czytania odpowiada i nad tą wspaniałą powieścią, której, daj Boże w ludowym, jaknajtańszym, choćby na bibule wydaniu, po wszystkich kamienicach Starego-Miasta z piętra na piętro wędrować, — niechby młody czytelnik drżał, zapalał się, niechby karty połykał: nie pójdzie on potem kraść, ani rozbijać...

Ale trzeba, dla wydawnictwa podobnego, aby je tak roznoszono, rozpowszechniano: aby poczciwi tak to czynili zrećnie, obrotnie, jak czynią niepoczciwi, aby w ten sposób wszystkie „Tajemnice Izabelli“, wszystkie przekłady z Montepina i tym podobnym pisarzy wypchnięte zostały — aby głos publiczny nad wydawcami takich książek prawo ostracyzmu moralnego wykonał i łaskę wyroku swego nad nimi złamał.

M. I.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Natchnienie i Miłość**.

TREŚĆ. Jan z Czarnolasu, (poezya). — Etyczne stanowisko kobiety w poezyi naszej, przez M. I. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Polskie panie i dziewice, przez B. G. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń. — Przestroga pedagogiczna, przez M. I.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Мая 1884 года.